

R E C E N Z J E I P R Z E G L Ą D Y

CZY NORWID BYL DEKONSTRUKCJONISTĄ?<sup>1</sup>

Dekonstrukcjonizm w Polsce przestał być wyłącznie teorią, wszedł do praktyki badawczej. Dokonało się to dzięki książce Wiesława Rzońcy *Norwid poeta pisma. Próba dekonstrukcji dzieła*. Książka ta, głosi angielskie streszczenie, „stanowi pierwszą próbę praktycznego zastosowania metodologicznych założeń dekonstrukcjonizmu w badaniach historycznoliterackich w Polsce”. Można więc powiedzieć, iż autor był w pełni świadomy realizowanego przez siebie zadania, słowa zaś „pierwsza próba w Polsce” wskazują, iż towarzyszyło mu poczucie jego historycznej doniosłości i przełomowego znaczenia. Co prawda, początki dekonstrukcjonizmu w Europie sięgają lat 1966–1967, jednakże kraj nad Wisłą był zawsze w stosunku do Paryża opóźniony i Rzońcy, utalentowanemu badaczowi najmłodszej generacji, nie można czynić zarzutu, iż — by tak rzec — stawia się do roboty w momencie, w którym zaczyna się fajrant. Pierwsza próba jest pierwszą i wypada się odnieść do niej z należnym respektem. Nie przesądza to jeszcze o tym, czy — mówiąc językiem Norwida — będzie to pierwsza mądrość, czy pierwsze głupstwo, jednakże pęd do pierwszeństwa jest w naszej cywilizacji tak ogromny, że jego charakter i wartość na dobrą sprawę przestają się liczyć: byle tylko ono zaistniało. Oddawszy tedy pierwszeństwo Rzońcy, co mu przystoi, można zająć się jego książką *sine ira et studio*, z dala od zgiełku licytacji i przepychanki w kolejce.

Deklaracja ta jest konieczna także ze względu na obrazoburcze dążenia „autora” (Rzońca życzy sobie, by słowo to ujmować w cudzysłów). „Widmo komunizmu krąży nad Europą”, pisał ongiś stary, dobrotliwy Karol Marks, treści zaś zawarte w książce Rzońcy można by z kolei sparafrazować słowami „widmo dekonstrukcji krąży nad Warszawą i nad norwidologią”. Ich wystylizowanie może wywołać grozę co najmniej bliską tej, jaką w filmach kowbojskich budzi ich stały motyw, słynna pieśń o podrzynaniu gardeł, zaadresowana tym razem do norwidologów, nie do osaczonych kowbojów. Oto bowiem w VII, ostatnim rozdziale książki domaga się Rzońca „rozbicia tradycyjnego «Norwida», (cudzysłów wokół Norwida należy do Rzońcy), „rozcłonowania” go na „sumę związków”, bezlitosnego „zdezintegrowania” jako „realnego człowieka” oraz „zjawisko historycznoliterackie”. Nie są to zresztą stwierdzenia najbardziej radykalne. Norwid tedy „nie

---

<sup>1</sup> W. Rzońca *Norwid poeta pisma. Próba dekonstrukcji dzieła*. Wydawnictwo Naukowe Semper, Warszawa 1995, ss. 205.

posiadał określonej tożsamości”, więcej, „«Norwida» w znaczeniu przyczyny, skończonej całości po prostu nie ma”. Zlikwidowawszy Norwida w trybie dekonstrukcjonistycznej czerezwyczajki, Rzońca żniwo zniszczenia przenosi na niwę teorii literatury i estetyki. „Nie ma tradycyjnego autora”, oświadcza, „nie ma tradycyjnego dzieła”, „nie istnieje tradycyjne piękno dzieła”. „Dociekania określające kunszt wyrażania przez autora myśli za pomocą spójnego i przejrzystego dzieła zastąpić należy refleksją tyczącą estetycznej doniosłości przypadku, bezsensu, alogiczności, niedoprecyzowania, niejasności, dysharmonii i sylwiczności” (s. 196). Puentą wywodów jest wniosek, iż norwidologia „musi” dokonać „koniecznego skrętu” i przekształcić się w „antynorwidologię”.

Z wcześniejszych deklaracji o pierwszeństwie można wnosić, iż ambitny badacz chciałby stać się jej przywódcą. Czy przykład Rzońcy pociągnie rzesze norwidologów, trudno przewidzieć. Wszystko jest możliwe. Dezorientacja w naukach humanistycznych jest tak powszechna, iż nie szokuje nawet postulat uprawiania „antynorwidologii” w sytuacji, w której, jak kategorycznie oświadcza Rzońca, „«Norwida» [...] po prostu nie ma”.

Tchnące grozą oświadczenia i proklamacje Rzońcy — w części na sianie grozy obliczone, w części wynik szczerego i naiwnego przejęcia się naukami Derridy, często zresztą opacznie pojętymi — nie powinny przesłaniać faktu, iż w książce młodego i utalentowanego badacza, oprócz oczywistych błędów i uproszczeń, znajdziemy wiele zalet, śmiałości i świeżości w spojrzeniu na „przedmiot”, ożywczej przekory w traktowaniu zagadnień, z których, zdawałoby się, niczego już wykrzesać nie można. Jej główną intencją (Rzońca co prawda doktrynalnie twierdzi, że „intencje” nie istnieją, ale dalej nie będziemy już przejmować się epatującymi gestami badacza) jest pragnienie o d b r ą z o w i e n i a Norwida, co wydaje się i chwalebne, i pożądane, i pożyteczne. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż „wielka koniunktura” na Norwida, jaka istniała w latach siedemdziesiątych i częściowo osiemdziesiątych tego stulecia, skończyła się, tj. przeżyła się i wyczerpała. Ukształtowała ona ideologiczny stereotyp Norwida, katolika i liberała, prekursora „Polski solidarnościowej”, gdy tymczasem po roku 1989 okazało się z porażającą oczywistością, iż historyczny Norwid niewiele ma wspólnego z cynicznymi realiami, które wcześniej nim firmowano. I solidarność, i katolicyzm, i liberalizm — poddane próbie rzeczywistości — okazały się niesłychanie dalekie od wyobrażeń, jakie w horyzoncie własnych nadziei miał o nich poeta. Mimo iż nadal istnieją norwidologowie, którzy powielają stare, coraz bardziej zełgane klisze, stereotyp Norwida solidarnościowca uległ kompromitacji, bodaj ostatecznej. W tych okolicznościach dziejowych postulat odbrązowienia Norwida jest ze wszech miar zasadny.

Rzońca zgłasza go w stosownej chwili. Podejmuje jednak ryzyko „próby generalnej” w

sytuacji, gdy i on sam nie dysponuje w pełni dojrzałym i gotowym scenariuszem „sztuki interpretacji”, i publiczność nie odwykła jeszcze od starych i dobrze znanych schematów. Rzońca, jak przystało specjalście od romantyzmu, występuje tu w roli bohatera prawdziwie bajronicznego, który czegoś pragnie i przeciwko czemuś się buntuje, chociaż w gruncie rzeczy nie całkiem dobrze się orientuje, czego chce i przeciw komu lub czemu występuje. Przejęty podziwem dla własnej pozy i roli, na pierwszy ogień wystawia właśnie nieszczęsnego Cypriana, którego — za co? za czyje grzechy? — chciałby „rozcłonować” i „zdezintegrować”. Przypatrzmy się tedy bliżej tym „katowskim” ze swej istoty poczynaniom Rzońcy.

Wypada je oceniać bądź to w aspekcie metodologicznym, bądź norwidologicznym, ściślej — antynorwidologicznym. Co się tyczy pierwszego aspektu, Rzońca, jak się już rzekło, prezentuje się jako świeżo upieczony adept cokolwiek zleżącego (na Zachodzie Europy, nie u nas) dekonstrukcjonizmu.

Jak się wydaje, istotą tego kierunku był (i pozostaje, gdyż jego aktywność bynajmniej jeszcze się nie wyczerpała) protest przeciwko aprioryzmowi i dogmatyzmowi dominujących wcześniej kierunków „konstrukcjonistycznych”, takich jak formalizm, fenomenologia czy przede wszystkim strukturalizm. Dysponowały one uprzednimi i gotowymi matrycami „porządku”, „ładu” i „zorganizowania” we wszystkich dziedzinach, o których się wypowiadały, nawet przed podjęciem nad nimi empirycznych badań. Z góry na przykład było wiadomo, iż dzieło literackie tworzy strukturę, literatura jest systemem, a kultura strukturuje się w spójną całość za pośrednictwem binarnych opozycji. Twierdzenie, iż utwór zawiera cząstki heterogeniczne, niefunkcjonalne i niestrukturowane, wydawało się herezją wręcz nie do pomyślenia. Kulturowano sprzeczne z realiami wyobrażenia o autoteliczności literatury, o możliwości badawczego wypreparowania z niej „literackości”, zamknięcia jej we własnej immanencji, wewnętrznej celowości, hierarchii i spoistości tekstu itd. Dekonstrukcjonizm zwracał uwagę, iż ów „nadmiar uporządkowania” fałszuje stan faktyczny i prowadzi do wykluczania zjawisk dla teorii niewygodnych, zaprzeczających głoszonym przez nią ogólnym twierdzeniom.

Tymczasem Rzońca niewiele przejął z powyższego programu. Dekonstrukcjonizm pojął w sposób aprioryczny i dogmatyczny, niejako sprzecznie z samą ideą dekonstrukcji, która z istoty swej zwracała się przeciwko gotowym totalizującym „wielkim narracjom”, przeciwko metafizyce oferującej wiedzę uprzednią o rzeczywistości, poza obrębem jednostkowego i zbiorowego doświadczenia. Dekonstrukcjonizm Rzońcy jest natomiast w i e r z ą c y. Jego osobliwością jest bowiem to, iż wiedzę o Norwidzie czerpie on... z Derridy, nie zaś z samego

Norwida. Aprioryczny obraz „poety mędrca”, prekursora współczesności, Rzońca zastępuje równie dowolnym i nieprzekonywującym obrazem *poety chaosu*, skrojonym „na oko”, według fantazji badacza i na miarę krawców paryskich. Ma on, jak się wydaje, równie mało wspólnego z Norwidem historycznym, co obraz pierwszy. Dowodzą tego sprzeczne z zawartością jego utworów i z góry zaprogramowane na „negatywny wynik” interpretacje. Świadczą o tym również uogólnienia, dokonywane na podstawie nielicznych utworów, ekstrapolowane na całą twórczość Norwida. Dotyczy to zwłaszcza szczegółowiej analizowanego wiersza *Przeszłość* oraz poematu *A Dorio ad Phrygium*. Zupełnym nieporozumieniem wydają się natomiast uogólnienia stworzone przez Rzońcę na podstawie pojawiającego się w *Tajemnicy lorda Singelworth* motywu śmietnika (s. 190). Motyw ten nieskończenie bardziej niż do Norwida przystaje do poczynań niektórych jego interpretatorów.

Ten obraz poety chaosu — podobnie zresztą jak wiele innych obrazoburczych twierdzeń na temat Norwida, jak to, iż „nie posiadał on określonej tożsamości” (s. 194) i że „jako myśliciel niejako nie dorastał do własnego dzieła” (s. 191) — Rzońca uzasadnia twierdzeniem, iż teksty poety tkwią „w otchłani sprzeczności”. „Skomplikowanie intelektualne tekstów, a nawet chwalona niekiedy «mądrość» Norwida, pisze autor, są przede wszystkim pochodną wysiłków pokoleń badaczy, którzy za wszelką cenę starali się wydobyć teksty z otchłani sprzeczności, podporządkować logice, uczynić przejrzystą całością” (s. 101). Rzońca nie dostrzega chyba braku logiki w tego rodzaju pochopnych i pospiesznych oskarżeniach kierowanych pod adresem norwidologów. Jeśli bowiem badacze ci zdołali przedstawić „skomplikowanie intelektualne” oraz „mądrość”, to przecież — niezależnie od tego, czy wymyślili to sami, czy przejęli od Norwida — świadczy to o nich jak najlepiej. Nie stanowi zatem przygany, lecz pochwałę. Z kolei nie jest powodem do dumy fakt, iż bądź to z braku wiedzy i kompetencji nie jest się w stanie niczego w tej dziedzinie odkryć u Norwida, bądź to własne braki intelektualne przypisuje się poecie.

Twierdzenia negatywne, niestety, są obosieczne. Jeśli tedy utrzymuje się, iż teksty poety tkwią w sprzecznościach i chaosie — bez dowodzenia tego — to powstaje domniemanie, iż młody badacz albo chce się tanim kosztem (bardzo tanim!) wywyższyć nad „pokolenia” ślepych i błądzących w tej materii norwidologów, albo też w *ł a s n y* chaos, sprzeczności i dezorientację przypisuje poecie. Dekonstrukcja rodzi efekt bumerangu. Dekonstruktor norwidologii musi liczyć się z tym, że sam zostanie zdekonstruowany.

I w samej rzeczy. Książka Rzońcy aż roi się od sprzeczności i niekonsekwencji. Z jednej strony autor gani norwidologów, iż czynili utwory Norwida „przejrzystą całością” wbrew ich

faktycznym właściwościom, z drugiej strony — pastwi się nad wierszem Norwida *Tymczasem* za to, iż ów przedstawia „całość mętną i bezładną” (s. 98). Raz brak jasności, logiki i całości jest w a d ą bezapelacyjnie kompromitującą Norwida, innym razem chaos śmietnika jest tytułem do jego c h w a ł y . Nie wiadomo, z jakiego powodu ów „śmietnik” zamienia się u Rzońcy nagle — na tej samej stronie — w „symfonię sensu” (s. 190). Raz autor kreuje Norwida na „poetę pisma” — nie zająkawszy się nawet o pomysłach poety w tej dziedzinie dotyczących chociażby tzw. litery i przypisywanej jej funkcji cywilizacyjnej, o semantyce znaków ideograficznych itd. — innym razem delektuje się jego muzycznością (*Tekst symfonią sensu*, s. 108–114). Raz Rzońca gromi norwidologów za dedukowanie znaczenia części na podstawie całości, innym razem mentorsko poucza czytelników o „prawdziwej” naturze Norwida, rozpoznanej sobie tylko znanym sposobem. „Należy zwrócić uwagę — rezonuje autor— iż wbrew interpretacyjnym schematom, wedle których Norwid był ofiarą kobiet, trzeba uwzględnić, że poeta zdolny był do normalnej, czy właściwej, pełnej rozmowy z kobietą” (s. 66).

Pozostaje żywić nadzieję, iż w kobietologii autor odniósłby większe sukcesy niż w dekonstrukcji. Tymczasem czytelnik książki o „poecie pisma” (bez pisma) musi głowić się nad tym, jak owa „kobieta” radziła sobie w „rozmowie normalnej, właściwej, pełnej” z osobnikiem „zdezintegrowanym”, pozbawionym „tożsamości”, chaotycznym. Rzońca, niestety, nie przedstawia rozwiązania zagadki.

Norwidologiczne aspekty książki Rzońcy budzą tyleż wątpliwości, co metodologiczne. Rzońca niezbyt dobrze radzi sobie i z analizą tekstów, i z ich związkami, z tym, co różne teksty Norwida łączy ze sobą. Wiele interpretacji wywołuje obawy, czy badacz w ogóle zrozumiał, o co w danym tekście chodzi na poziomie zgoła elementarnym. Dotyczy to również szczegółowo analizowanego wiersza *Przeszłość*. Niektóre wywody Rzońcy budzą wręcz zażenowanie nieporadnością. Przykładem jest tu „pojedynczy dąb” z II strofki *Przeszłości*, który „jest siłą i dobrem, gdy natomiast znajdzie się w lesie (w iglastym czy raczej liściastym, czy to bez znaczenia?), staje się anonimową częstką chaosu” (s. 27). Gorzej, iż własną dezorientację co do twórczości Norwida zamienia on, po pierwsze, w teorię dezorientacji p o w s z e c h n e j , po drugie, w interpretacyjną tezę o dezorientacji N o r w i d a . Na takiej podstawie teoretycznej można dowieść, oczywiście, wszystkiego, czego tylko dusza zapragnie. Dąb z *Przeszłości*, zdany na dowolność badacza, mógłby bez trudu zamienić się na przykład w symbol seksualny męskości, koło zaś („Za kołami to wieś”) — w ideogram seksualności żeńskiej. Na szczęście Rzońca tak daleko się nie posuwa. Jednakże dostrzeżenie paralelizmu przeszłości i oddalającej się wsi zdaje się przerastać

wyobraźnię dekonstruktora.

Być może nie to jednak jest w omawianej książce najgorsze. Otóż Rzońca przyjął za wytyczną swych rozważań bałamutną — dla jego książki w istocie zgubną — myśl, iż istnieje k o n f l i k t między Norwidem artystą i intelektualistą (s. 185). Postanowił też za wszelką cenę pognać intelektualizm poety. Uznał go za coś zdegradowanego, „bezradnego” (s. 147), dając w rzeczywistości świadectwo jedynie własnej niekompetencji i bezradności w tej dziedzinie — zamiast przyznać tutaj uczciwie, iż na ten temat nie ma po prostu niczego do powiedzenia. Tymczasem Rzońca z niekompetencji czyni cnotę i głosi na przykład z namaszczeniem, iż teksty Norwida „nie zawierają idei” oraz nie dotyczą „określonej rzeczywistości” (s. 188). Poeta, pisze Rzońca, „nie przedstawia, nawet pośrednio, żadnej istniejącej rzeczywistości fizycznej lub psychicznej, a jedynie konstruuje śmietnik” (s. 153). Obsesja śmietnika wyraźnie dominuje w rozważaniach Rzońcy. Byłaby ona być może zasadna, gdyby książka dotyczyła *Kartoteki* T. Różewicza, jednakże w stosunku do historycznego Norwida jest rażącym ahistoryzmem. Pewnie Rzońca odpowiedziałby na to, iż „historii nie ma” — i oczywiście, ma prawo tak twierdzić. Pytanie tylko, na jakiej podstawie stwierdzimy wówczas, że istnieje realny Rzońca, „pierwszy polski dekonstrukcjonista” — pierwszy dekonstruujący czy pierwszy zdekonstruowany.

Dekonstrukcja jest sztuką trudną i potrzebną, broniącą nas przed szalbierstwem, przed intelektualnymi i pisarskimi nadużyciami. Również dekonstrukcja norwidologii jest potrzebna. Rzońca, norwidolog, otrzymał właśnie to, o co zabiegał. Ale i dekonstrukcja Norwida jest także pożądana i potrzebna. Jeśli w nauce dekonstrukcja ma mieć jakąś rację bytu, powinna prowadzić do głębszego zrozumienia dekonstruowanego zjawiska, nie zaś do jego banalizacji i trywializacji. W tym też kierunku może i powinna przebiegać, a materiału w tym względzie teksty Norwida dostarczają niemało. Czy jest możliwa poza horyzontem historycznym epoki, w której tworzył poeta — wydaje się to wątpliwe. Główny błąd Rzońcy wyraził się w tym, iż horyzont ten niemal całkowicie zignorował.

Czy sam Norwid był dekonstrukcjonista? Historycznie biorąc, początki dekonstrukcjonizmu mają swe źródła właśnie w negatywizmie romantycznym. Pierwiastek dekonstrukcji był w pismach Norwida stale obecny, choć poeta utrzymywał go w ryzach, nie stanowił on celu samego w sobie, „...dzieło zniszczenia i dzieło tworzenia — pisał w *Rzeczy o wolności słowa* — harmonijnie się kędyś łączy i spierścienia...” Norwid ciągle wierzył w istnienie światowej i kosmicznej harmonii, nigdy z tą wiarą się nie rozstał. I to na przykład byłby świetny temat na dekonstrukcję.

*Edward Kasperski*